

„Zacziem wam Papa?”



Takie dziwne pytanie usłyszałem w 1978 r. na lotnisku w Moskwie, gdy celnik bebeszył mi walizki. Zdenerwowany, bo jak zawsze oprócz dwu par dżinsów na sobie wiozłem na handel jeszcze 3 pary upchnięte po bagażach, mimo dobrej już po roku studiów znajomości rosyjskiego zaparłem się głupio: „Kakaja papa? Nikakoj papy nie wiezu!”. Na co on pokazał mi rulon 20 wielkich kolorowych portretów Jana Pawła II i machnął ręką: „*Poniatno - Poliak. Prochodi!*”. To był taki kieszonkowy cud naszego Papieża, który uratował mnie od grubszych nieprzyjemności.

O wyborze mało nam znanego kardynała Wojtyły my, polscy studenci słynnej sowieckiej szkoły filmowej WGIK, dowiedzieliśmy ze słuchanej na okrągło wieczorem Wolnej Europy, której polskojęzycznych audycji w Moskwie zdroworoządkowo nie zagłuszano. Nikt z nas nie był przesadnie religijny, ale nawet w tym zateizowanym do szczytu Sojusze epoki późnego Breżniewa dla Rosjan i innych narodowości imperium słowa „Polak” i „katolik” były synonimami. Co prawda tylko my chodziliśmy na pasterkę w jedynym czynnym moskiewskim kościele św. Ludwika tuż obok placu o mrozącej krew w żyłach nazwie Łubianka, ale wybór Polaka na tron Piotrowy okazał się nieoczekiwanie ważnym wydarzeniem dla całego wielce międzynarodowego towarzystwa w naszej szkole. Nagle okazało się, że szczęśliwi i dumni są też inni, jeszcze bardziej nominalni katolicy, jak Litwini, ale gratulacje składali nam i koledzy Łatynosy, wyznający raczej lewacką „teologię wyzwolenia”, i zawsze Polsce przyjaźni prawosławni Gruzini, i wyznawcy islamu z Azerbejdżanu, ale i lamaizmu z mongolskich stepów.

Nie bez powodu wiozłem tyle wizerunków „Papy”, bo wkrótce oblicze Jana Pawła II zdobyło wiele studenckich pokoi w akademiku, a niewiele później przewoziłem przez sowiecką granicę – zapewne znów nie bez jego dyskretnej opieki – Biblie po rosyjsku od o. Jacka Salija i worki znaczków „Solidarności”, które nosiło pół WGIK-u. Większość nie ryzykowała, bo słusznie sądzili, że ten karnawał wkrótce się skończy, ale powstała nowa para nierozzerwalnie związanych ze sobą pojęć - „polskiej Papy” i „Solidarności”. Dlatego wszyscy przyjęliśmy zamach 13 maja 1981 jako zarazem zapowiedź totalnej rozprawy z „Solidarnością”, co się po kilku miesiącach sprawdziło. Z bardzo licznych kolegów została tylko garstka wiernych – Gruzini, Bałtowie, Mongoł, reszta błyskawicznie zrezygnowała z kontaktów z „zadżumionymi” polską kontrrewolucją.

Nikt tu nie miał najmniejszych wątpliwości, że na Placu Świętego Piotra zadziałała długa ręka Kremla, a czy jej bezpośrednimi wykonawcami był Turek, Bułgarzy, czy ufoludek nie miało znaczenia. Nie czytałem żadnej sowieckiej prasy, ani nie oglądałem ich telewizji, więc nie pamiętam, jakie były oficjalne reakcje na zamach. Jedno było pewne: nikogo na świecie nie bali się tak, jak naszego Papieża i Ronalda Reagana. I słusznie, bo gdy

tych dwóch gigantów zjednoczyło swe wysiłki, Związek Sowiecki runął. Wiele lat później potwierdził mi to znający ich obu słynny rosyjski dysydent Władimir Bukowski, którego tłumaczem byłem, gdy już jako obywatel brytyjski przybył do Polski w 1989 r. Wołodia mówił zarówno o niesłychanej radości wśród dysydentów po wyborze, a zarazem natychmiastowej obawie: „Przecież go zabiją!”. Takie same były reakcje moich przyjaciół ze wszystkich zakątków byłego Związku Sowieckiego po śmierci Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 2010 r. - zabili!

Bukowski, który na fali krótkiej jelsynowskiej liberalizacji uzyskał w 1992 r. dostęp do archiwów sowieckiej partii komunistycznej i posługując się nieznany strażnikom akt urzędzeniem – ręcznym miniskanerem – skopiował i wywiózł tysiące stron stenogramów posiedzeń Politbiura, opowiadał mi, że mieliśmy słuszną intuicję – po wyborze Wojtyły na papieża na Kremlu zapanowała panika! Gerontokraci poczuli, że przez tego człowieka ich era może się skończyć przedwcześnie. Wyrok na Papieża zapadł po jego pierwszej pielgrzymce do ojczyzny w czerwcu 1979, gdy ośmielił się mówić do nieprzebranych tłumów rodaków: „Wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II, papież. Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”, co już rok później zaowocowało wybuchem „Solidarności”.

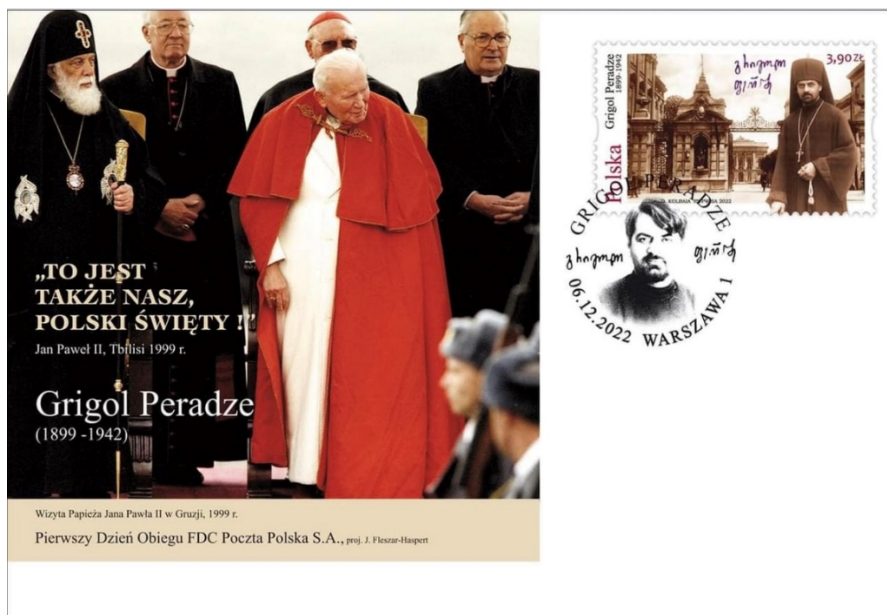
Tak, Papież i „Solidarność” jeśli idzie o historię polityczną to zjawiska tej samej wagi, ukazujące siłę duchową Polski, dlatego od zawsze były zaciekle zwalczane przez Moskwę i lewactwo światowe oraz kanale wewnątrz kraju. Niemcy bezczelnie ukradli „Solidarności” zasługę zerwania sowieckich kajdan, podmieniając to swoim murem berlińskim, w Polsce renegaci wyśmiewali się z jej etosu pod hasłem „styropianu” i bratali z jej katami – Jaruzelskim, Kiszczakiem, Urbanem.

Mój zacny Redaktor czasem delikatnie mnie upomina, że zbyt osobiście podchodzę do podejmowanych tematów, ale jakże tu tego uniknąć, gdy piszę wprawdzie o wydarzeniach epokowych, ale zarazem rozgrywających się na moich oczach, wpływających bezpośrednio i na moje prywatne życie. Gdy po ukończeniu sowieckiej uczelni powróciłem do skutego stanem wojennym kraju z wykradzioną z Raju Krat żoną, okazaliśmy się dzięki wilczemu biletowi od komuny na marginesie życia. Czyli w solidarnościowym podziemiu. I oto do ponownie zniewolonego kraju przybył w czerwcu 1983 r. Papież. Poszliśmy go witać w drodze z lotniska. Przy ulicy Żwirki i Wigury dziesiątki tysięcy ludzi buczących, gdy po jezdni całej zaślanej dywanem z kwiatów przejeżdżały pojazdy milicyjne, a potem... Akurat tam, gdzie staliśmy, Jan Paweł II obrócił się z uśmiechem w naszą stronę i pobłogosławił nas z papamobile. Zaczęło się nowe życie, trudne, ale pełne rosnącej nadziei.

Dopiero gdy początkowo tylko śmieszące nas absurdy ideologii politpoprawności dotarły z Zachodu już w postaci obowiązujących powszechnie zasad, a wkrótce i praw, zaczęliśmy rozumieć wielkość nauczania Jana Pawła, który nas przed tymi iluzjami ostrzegał od początku.



Głupcy przypisują sobie i swej „liberalnej” ideologii obalenie komunizmu, nie chcąc słyszeć o potędze modlitwy wielkich świętych i pragnąc wymazać nawet wspomnienie o nich. Jeśli im na to pozwolimy, nie będziemy godni uważać Papieża za swego wielkiego Rodaka, którego słuchano z większą może nawet niż w ojczyźnie uwagą na bliskiej jego sercu Ukrainie, w prawosławnej Gruzji, a nawet w Azerbejdżanie, gdzie chrześcijanie stanowią 3% muzułmańskiej ludności, a witał go milionowy tłum. Podczas wizyty Jana Pawła II w Gruzji, jego przyjaciel od lat 60 XX w. Patriarcha Elias II pokazał mu film o gruzińskim profesorze patrologii Uniwersytetu Warszawskiego, męczenniku KL Auschwitz, św. Grzegorzu Peradze, nakręcony przeze mnie i moją gruzińską koleżankę. Poruszony Papież powiedział wtedy: „To jest także nasz, polski święty!”.

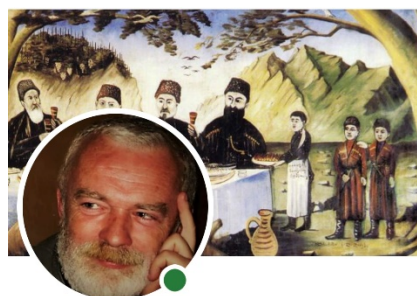


Więc przypomnijmy słowa tego świętego, skierowane do garstki parafian, rodaków na emigracji:

„Po gruzińsku opis życia świętego nosi tytuł "Żywot i obywatelstwo". Słowo "obywatelstwo" oznacza tu jego duchowe życie, walkę z samym sobą, warunkami zewnętrznymi i mrokiem. I Jezus Chrystus przyszedł, aby powiedzieć nam to, co każdy Gruzin powinien mieć wypisane na czole: Kto okazał się niegodny jako obywatel tego świata, ten będzie niegodny obywatelstwa na tamtym świecie.”

Dziś w imię pamięci o naszym świętym Papieżu to samo powinien mieć wypisane na czole każdy Polak. Nie tylko katolik.

Autor:



Jerzy Lubach